

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Jan Strzdała

Słoneczna noc

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Źródło

* * *

Moja matka ma lat piętnaście
pod Krzemionką w cieniu błękitnego kamieniołomu
zbiera storczyki ostatni raz
słońce dzwoni w przezroczystym błocie
Wielki świat kołysze się na horyzoncie
zdziwione okna rodzinnego domu ślepą

Moja matka ma lat dziewiętnaście
w Cygańskim Lesie przyjmuje gałązkę kwitnącej czereśni
z rąk mojego ojca
biegną razem w otwartą przepaść
września 1939
w wypalanej piwnicy z czarnych klocków nocy
cierpliwie buduje dzień.

*

Na górze pod którą się urodziłem
bukowe złoto kapie z liści
szeleści płonie i ścieka do Wisły.

* * *

Urodzony ze ślepej tarczy zegara
w czterdziestym piątym
rysowałem
kolorowe pajęczyny dzieciństwa
w powietrzu
ulepionym z dymów
Na wybitych szybach domu
uczyłem się swojego nazwiska
W wypalonym kościele strzelałem
do przezroczystego głodu
W koszuli starszego brata
stałem nad grobem
o którym mówili
ojciec
Nie miał krzyża

bo szeptali
 czerwony
a ja zaciskałem pięści
i dorastałem do koszuli.

Źródło

Ten dom
miał wybite oczy
z uchylonych warg sączyła się nieobecność
motyl trzepotał w pajęczynie
zawisł na ścieżce której nie było
kwaśny chłód
i mokre światło między gontami
Złota pleśń na tarczy zegara
wypełnia nie odwiedzone lata
dzikie wino upiło się samotnością
i tańczy po ścianach
Zatoczyłem się w połamane ramiona snu
śni mi się hejnał mariacki
i suknia matki w ogromne kwiaty
Pobielane ściany wznoszą się stromo
do nieba
Gorące malwy wspinają się na palce
by dotknąć dachu
Złoty zaskroniec ognia ślizga się między krokwiami
Budzę się w garstce popiołu.

W czerwonej mgle

W czerwonej mgle
na wysokości odrąbanej
 główni
biały słup dymu
łamie palce
 płomieni
Ciężkie krople roztopionego Nieba
rosną w oczach
Przez dziurę w Niebie odlatują
uwolnione dusze krzesel szaf książek
i nie wysłanych listów
Wypalone żebra domu
 jak żurawie

piją milczenie z popiołu
Słońce po niebie
wlecze pług bólu
idzie deszcz
o jedno słońce spóźniony.

Drzewo

Kiedy ścinali drzewo
milczało
upadło w przeciwną stronę
dziura w powietrzu
świeciła nocą
Zdarli korę
przestało szumieć
Dojrzewało do dłuta
w słońcu
nad pustym miejscem
krzyczały ptaki
Popękało
wzdłuż
przeznaczenia
Wyrzeźbiono z niego anioła
stoi przy głównym ołtarzu w parafialnym kościele
Kłęczą przed nim już
trzy pokolenia drwali.

Uczę się czułości

Rzeka delikatnie całuje
skórę powietrza
jej pieszczota rodzi deszcz
Długie ramiona słońca
kołyszą zielone ziarno
aż rozmnożą je w
chleb

Stoję tak blisko
że widzę jak
powietrze ugina się pod
ciężarem linii papilarnych
kamienia

W miejscu pęknięcia przecieka
czarna rtęć śmierci
jej krople cicho stukają

w szklany kalendarz Nieba

Kamień przerażony chowa się w trawie
przed ręką Kaina
Dym ofiarnym ciężarem
budzi tętno gniewu

Jestem odległością
ręki od kamienia
ziarna od chleba
powietrza od wody
Uczę się czułości.

Ziemia

Ziemia nie jest czarna
jest mlekiem i popiołem
Rodzi śpiewające kamienie
i świetliste drzewa
Patrzy okrągłym okiem
liczy moje kroki
Ziemia nie jest głucha
słyszy chłodny szept lat
płynący we krwi
Zielonym mchem spowiada
kamień z ciszy
Ziemia jest śmiertelna
rodzi się krzewem
a umiera krzyżem
Płyną rzeki
we wszystkie strony
światła
Przez brzozowe lato
biegnę do nieba
śpiewające kamienie Czarnej Wisłki
milkną
TO
tak blisko że
nie zauważyłem kiedy skończyła się Ziemia.

Pomyliły strony świata

Biegnę bosymi słowami

po zamarzniętej kartce nocy
W niecierpliwą szybę mojego okna
stukają ptaki

 dobrej nowiny

Otwieram i
słyszę szelest
ich skrzydeł gdzieś
na krańcu

 są

tak blisko że

 widzę

Ich szybciotko pulsujące serca
kawałki skostniałego powietrza
toczą się jak kryształowe pomarańcze
w stronę świtu
Ptaki bledną

 wiem

pomyliły strony świata
Patrzę w słońce
krew obraca się
o 180 stopni
płynie w kierunku
pierwszego oddechu.

Gdy pękną powieki

Nisko nad obręczą gumowego nieba
w pustych lustrach powietrza
ciężarne oczy
kradną odbicia jutra
W mur nocy
wtulił twarz włóczęga
czubek jego buta dotyka
serca Ziemi
Sen odwija mu z nóg
bandaż drogi
O świetle gdy pękną powieki
krzyk kolczastego, słońca zatańczy
a drogę mu wskaże
biały piorun brzozy.

Część przypisana

Biegnę biegnę przez słońca
W rytm słów niepokoju i myśli
Zamykam oczy i słyszę
Jak dzwoni tysiącem nut
Pełna twarzy kolorów i bzów
Ziemia gorąca
Oderwać chciałbym dla siebie
Jedną część mi przypisaną
i ponieść ponieść tam
Gdzie budzę się niechcący
I czekam

*

A czuć tak w sobie
Nie słowa nie szepty
A czuć tak w sobie
Ostre szkło
To mi nie powiesz
Że wiersz jest wzięty
Z wierszy
Że na nim kolor mętny
Bo jest jak piasek pod powieką

*

Może biegłem ulicą
A może peronem
Nic tylko szybki stuk
Za czym te nogi błdziły
Szyn pasmo jak droga do nieba
Lamp czerepy kołysane wiatrem
I deszcz
Może mi szukać nie w tę stronę
Może nie tym peronem

*

Zawiąż więc oczy chustą
Umyj więc ręce czarne
Wypluj z ust gorycz
Napisz na ścianie
Nie było mnie
A wtedy skacz bez lęku
W jasność słońc
I zostań świętym.

Otworzył się błękit

Na granicy snów białych
Kruszyłem skorupkę życia
Myślałem – kolorową
I śpiewałem po drodze do szkoły
Kłaniając się słupom elektryfikacji
Ostrzyłem dziób o stalowe druty
Mówili rzeczywistość
A ja oczy przymierzałem do słońca
I za duże spodnie po ojcu kombatancie
Papierowym sznurkiem ściągałem
A kiedy skrzydła pustych kartek niosły
Dawałem się ponieść
Nie czując młodym piórem
Że słońce to płomień
A kiedy kartek dni kolor zmętniał
Pomknąłem jeszcze wyżej
Na oślepie do krańca
Wiekami zdawała się chwila
Przebiecia
Przez brudną watę dojrzałości
I otworzył się błękit
Poraziło mnie słońce.

Terapia

Kiedy po raz pierwszy czytałem Biblię
w miejscu w którym słowo rośnie jak ciało
Budziłem się w matowej szybie szpitala
Wszystkie okna zapisane kratami
a mój pierwszy krzyk poobrywał klamki
Odsączono mi lege artis
śmierć niebieską ze zmęczonych paznokci
Uczyłem się przekradania przez mądre oczy
lekarzy i mokre koce pielęgniarskiej czułości
Stawiałem pierwsze kroki po ścianach milczenia
w przerażonym suficie ukrywałem białą kość
zgody
a na odważnej podłodze traciłem równowagę
W godzinach szczególnej troskliwości
wprowadzano mnie do arki przymierza
Kiedy prąd wysokiego napięcia błękitną igłą
usiłował trafić w źrenicę obłądu

przez krótką chwilę rozmawiałem z Bogiem
Poznałem go po słonecznym zegarze –
nakręcał go oddechem w przeźroczyستی sposób
Przechodząc przez zdziwiony mur
nie poczułem że rozstał się jak Morze Czerwone
szczątki prądu i opatrunki szyb jak gwiazdy spadały
prosto w wasze otwarte usta
uczyły obce języki mojego milczenia.

Poznać brata

Czekać na cień
martwy kamień słońca
brać w usta gwiazdę kolczastą
i pić z niej krew
Wywlec ze studni ciała
duszę
Nożem podplynać pod grzbiet
jak pstrąg
Spotkać Kaina a nie być Ablem
z otwartych luf jak z otwartych żył
poznać brata
W ustach miał tę samą gwiazdę
i krew
Dać śmierć to tak jak życie wyprzedzić
uderzyć sercem w asfalt
i niech to serce leży
Dać życie to tak jak śmierć nagrodzić
i strzelić prosto w krzyk Kainowych ust
Czuć miłość to czuć życie w śmierci
pękające milionem gwiazd kolczastych
W modlitwie Abła.

Słoneczny zegar

Noc zemdlała i
leży pod stołem
Dzień tłucze o szyby
aż bieleje powietrze
Stawiam bosą stopę
w mleczny cień sieni
złoty komar słońca

przemyka po ścianie
Idę do źródła
drzewa odwracają twarze
kiedy zmywam z ciała
czarną ospę nocy
W czystej wodzie
utopione gwiazdy
milczą do siebie
zamienione w kamienie
drży ważka
ostatnią godzinę
słyszę jak jej serce
opowiada miłość
Tkwi we mnie drzazga
słona
pusty portret jutra
Idę ze słońcem w dłoniach
naprzeciw cienia.

Katharos

* * *

Przybiegałaś do mnie
od strony wiatru
rozgarniałaś włosy ręką
i mówiłaś
tu nasze miejsce
Pachniało szeptem i wrzosem
i grzechem najprawdziwszym
między jednym a drugim
wniebowstępowaniem.

Jeszcze w sukience

Przyszła milcząca
Obca po oczach
Po rękach
Po włosach zakwitły pierścienie
Po piersiach po ramionach
Spłynęła mokrą chwilką

Nie rozchyłona jeszcze
Jeszcze w sukience
Zawstydzona milczeniem
Więc wstałeś ciężki
Mocny czekaniem wstałeś
I pękła sukienka
Od serca do serca
Od płaczu do płaczu
Rzuciłeś strzepy już winne
W źrenic rozszerzoną radość
Wytarłeś czarną pierś
Białą najcieplejszą
I nie kłamałeś.

Słoneczna noc

Idziemy późnym popołudniem
 w stronę
cicho mruczącego słońca
Mam lat dziewiętnaście
 na gładkim czole
odbijają się wysokie chmury
Na koniuszkach twych piersi
 tańczy niecierpliwość
To jest pierwszy spacer
 w smugę cienia
mówisz poczekajmy
 aż wszędzie
ale nasze słońce zatrzymuje się
nad czarnym stawem
Nadzy
do krwi
biegniemy
w jego nieskończoną śmiertelność.

* * *

Mur który nas dzieli
jest zwyczajny
jego cementowe usta
szepczą grzeszne kłamstwa

Twoje ciało za ścianą
jest gładkie
Przytulam twarz do szorstkiego kamienia
słyszę jak bije serce grzechu.

*

Chciałbym być rzeką
kiedy naga płyniesz
do źródła
Twoje ciało jest lekkie
jak piana
O dwa brzegi opieram ramiona
by cię nie zgubić.

W swojej szczelinie

Dotykasz mego ciała
jak zegar dotyka czasu
Udajesz miłość
jak latawiec ptaka
Jesteś tak blisko
jak fatamorgana
w środku miasta
poprawiam krawat
kupuję papierowe kwiaty
Zbieram obojętność czystymi rękami
za bramą mojego domu
Na przystanku czekam
na autobus
Staram się zmieścić
w swojej szczelinie
Uważam by nie dotknąć
twoich piersi
są zbyt zimne.

Spotykam siebie

Do takiej bliskiej ulicy
jest już tak daleko
Przedzieram się nagimi nocami
przez matowe szkło lat kilkunastu

Czuję jak korytarze ulic zatrząskują się za mną
 (byłem na nich już byłem)
 a jednak
 na rogu spotykam siebie
 udaję że nie znam i idę dalej
 potykam się o listonosza
 leżącego w poprzek
 Oddaję mu list od ciebie
 żeby mi przyniósł raz jeszcze
 Matowe szkło jest coraz gęstsze
 i coraz mądrzejsze
 Nie czyni cię nieobecną
 tylko porysowało twarz twoją
 odpryskami z wybitych szyb
 w moim domu.

Katharos

W miejscu gdzie woda rodzi piasek
 stoję
 Zebrałem spokój
 z twoich mokrych ramion
 Z kołysania twego wzięłem
 równowagę
 Splotłem ciszą
 co między jednym a drugim
 Nasze dziecko
 czarnym słońcem
 suchym piaskiem w sercu
 lodem żaru gdy
 cień białym wiatrakiem
 kamieniem
 szybującym w nieodległość.

Na odległość ręki

Wrócił z czerni

Otworzyły się nad ranem
 Na przedmieściu
 Groby wesołe i świeże

I wstali z nich poeci
Okrywając co wstydlivsze części
Białym postrzępionym wierszem
Chwilę stali zdumieni
Że nikt ich nie wita
Potem się rozeszli
Każdy twarz na swój sposób
Zgrabną metaforą
Odrupił odwieczył
I już się uwspółcześnił
Strząsnął martwe mity
Krawat idei zawiązał pod szyją
Nabrał tchu w nieco nadwątlone płuca
I krzyknął
Współcześni poeci
Tam nic nie ma
Ten korytarz śmierci
Zaczyna się grobem
Lecz nigdy nie kończy
Pusty jest
Milczący
Dla każdego własny
Poezji szukajcie naprzeciw

*

Nie pozwolono
Krzyżeć martwym
Nikt się nie dopominał
Zamknięci w czarnych pudełkach
Szczelnie utkanych śmiercią
Nawet teraz udawali
Że nic nie słyszą
By nie brać w daleką podróż
Pytań
Na które nie znaleźli odpowiedzi
Za życia.

Na odległość ręki

Pod ścianą
białego wieżowca
W tunelu
ulicy
Z kartą życiorysu

dwudziestoletnią
już bez podpisu ojca
już bez pocałunku matki
na czole
Stawiał
swój krok pierwszy
Pasma szyn
wyznaczały kierunki
Myślał
wiek dwudziesty
Toczy się
na odległość ręki
Wystarczy się zmieścić.

Piętnasta dziesięć

Kobieta dwudziestoletnia na stopniach
a tramwaj mknie
Przez targowiska
pustynie
betonowe piętra
śliskie neony milkną w połowie
Zmęczone twarze samochodów
nucą spalinowy song
Gazetowe balony pękają gdzieś blisko
Kobieta na stopniach tramwaju
dziesięć minut po
godzinie piętnastej
rozwiązuje duszę
I porzuca na którymś przystanku
gdzie stoi już takich sześć
a ciało lżejsze
wejdzie gładko
w ten tramwaj.

Odkrojony z powietrza

Moja ulica nie kończy się
asfaltowym oknem
ani żelazną pajęczyną
Moja ulica zaczyna się
biciem serca
i ciszą

która tam na mnie czeka
odkrojona z powietrza

Na obcej ulicy
potykam się o papierową kałużę
Twarz mam obcą
podobną zamkniętym oknom
Jestem bezwzględny i podporządkowany
betonowym ścieżkom
Czuję jak serce obrasta
rdzą bezimienną
Mózg jak labirynt szkła
perforowany program
spełnia
Po dwudziestu latach
nie znam już mojej ulicy
Nie potrafię znaleźć jej początku

Zasypiam w kolejnym hotelu
i śni mi się
i pies znajomy
i słup latarni krzywy
Wtedy rosą mi skrzydła
które obcina mi
świt
Na moją ulicę wrócę
papierowym gołębiem
odkrojonym z powietrza

Szept igły w otwartej żyłce

Przez poczekalnie dworców
o trzeciej piętnaście nad ranem
przelatują ekspresowe psy głodu
Ich nikt nie zatrzyma
 Oczy w połowie przedarte
 jak skaleczona dłoń
 w nocy zrastają się
 straszą
 Z wargi rudego mesjasza
 ścieka ślina
 Parkopanowa lekkość
 w szerokich źrenicach dziewczyny

Słyszę
słodki trupi szept igły
w otwartej żyłce
Nikt się nie poruszył
Psy przeleciały
Oczy zrosły się
Myślę że na dworcach
zawsze śpią ci sami ludzie.

Ararat

Nie znam cię
przechodniu 42 ulicy
Wychodzisz do pracy
ja połykam tabletkę dziennika wieczornego
Rozdzielasz nylonowe uśmiechy
ja wkładam głowę w kanał nocy
śni mi się góra Ararat
serce bije mi mocno
koniuszką w czwartej przestrzeni międzyżebrowej
przylatuje gołąb i włącza pęcherzyk rzeczywistości
Idę do pracy Nowym Światem
Ty na ulicy Kennedy'ego oglądasz dziennik wieczorny
Nie wiem jak minął twój dzień
wiem tylko że śnimy tę samą Arkę.

Reinkarnacja

Ten zużyty bilet
wdeptany w płytę peronu
jest nieskończoną
podróżą
odległością
wspaniałym błotem
czułością butów
W jego papierowej duszy
umierają motyle
podróżnej gorączki
Jest bielejącą kością
znikających stacji
Peronowa kobieta
wrzuca jego szczątki

do kubła z makulaturą
jutro na jego grzbiecie
wydrukują twój nekrolog.

Egzekucja

Biali staniemy
nadzy do mózgów
Rąk nie podając
nie unosząc twarzy
Będziemy milczeć
jak białe trupy
Z ust tylko krew pocieknie
przerzniętej prawdy
Klękniemy równo
na gładkiej posadzce
By katom buty
obejrzeć z bliska
Dziurawe języki
zgorzelą kłamstw
łaskoczą tylko
słodkie próchno pnia
Oczy wyschnięte
od wiatru przemilczeń
przymkniemy szczelną powieką zgody
A uszy nastawimy z wdziękiem
w pasmach przyklasku
i króliczego lęku oszlifowanych serc.

Niebieskie powietrze

Wypadek

Dotykam twego ciała
w miejscu uderzenia
Słyszę szept kory
przecięty w pół słowa

Echo słońca płynące w słojach
traci równowagę
i przecieka martwe
na zdętwiałą trawę
Jeszcze liście dygocą
zbielale śmiercią
która białym skrzydłem
ciągnęła do Nieba
zimną chustę duszy
Tylko myśl
ominąwszy drzewo
uszła z życiem
Teraz naga
w mokrych lustrach
błądzi
i jak osa słońca
zapala nieśmiertelniki
pijane.

Brzozy

Urodzone nocą
wrastają w ciało
cicho
 jak nóż
Oddychają
tym samym słońcem
 co twoja krew
Na ich powietrzu
koszulę bielisz
 w poprzek
 bólu
 cieknącego
z zegara
W milczeniu kory
 biel
pierwsza
 i
ostateczna
Z ich ciała
 śmierć
zbuduje twoją
 Arkę.

Cień

Zbieram siły w cieniu drzewa
jego gałęzie wrastają w chłodne Niebo
Gwiazdy zielenieją z rozkoszy
kiedy liście dotykają ich piersi
Mleczna droga rozwiesza na koronie
przezroczystą suknię gwiazdnego lata
Słyszę jak aniołowie schodzą po konarach
na Ziemię
Ich skrzydła odpoczywają niewidzialnie
z miejsc w których gałęzie dotknęły Nieba
sączy się niebieska żywica
jej krople wrastają w mój sen
gorączką gwiazdy polarnej
jest północ
śnie mi się palmy Grenlandii
Mała Niedźwiedzica zrywa przezroczyste orzechy
czarnych słońc
na zimnej dłoni topią się i
jak świętojańskie robaczki
płyną w mojej krwi do Nieba
na granicy ciała ślepną
Kiedy wszędzie słońce wykreślą mój cień
będzie tak wysoki jak ścięte drzewo.

Niebieskie powietrze

Na pękniętym szkle powietrza
bosi anioł przysiadł
Z przezroczystych ust
wypłynął list
list – bilet
plus minus nieskończoność moja
List był od Pana Boga
bez podpisu
ale bardzo nieskończony
Czytałem głupio uśmiechnięty
już dwadzieścia dwa lata
Oczy drętwiały mi
od tej krótkiej nieskończoności
nic nie rozumiałem

aż oślepiłem
Byłem niebieskim powietrzem
i teraz niebieskimi opuszkami
czytałem świat tego listu
Czasami ktoś mną oddychał
wtedy rozpuszczałem się cichutko
w jego krwi
Ten ktoś zostawał poetą
albo włóczęgą
albo Chrystusem nieukrzyżowanym
Usiłowano go leczyć
ale on był napisany wiecznym piórem Pana Boga
czytałem jego serce i każdą tkankę po kolei
karmiłem jego mózg jak karmi się gołębice
i odchodziłem na palcach z ostatnim oddechem.

Stałem by nie iść zuchwale

Stałem tam od rana niewidzialny nagi
bezpieczny bo duszę do pralni wygnałem
A w palcach szept dziewiczej krwi się pienił
a w ustach świtu gorzki aksamit
Tak zapatrzony biały nieśmiertelnie
śpiewałem by nie milczeć
stałem by nie iść zuchwale
W wysokim powietrzu tańczył śliski strach
i śmiałem się cichutko bezwstydnie w jego takt
a na białej sukni zrzuconej przez duszę w popłochu
roztańczone uda
rozcinały powietrze zapalone skórą
Postanowiłem nie czekać już dłużej na duszę
nieśmiertelna nie zginie
a przed śmiercią zdąży mnie
okroić swoim białym nożem
Bym mógł się zmieścić cały
w czarnej szczelinie śmierci.

Pod Toruniem

W zielonym wąwozie
gdzie szyn połamane włosy
anioł morderca ociera pot z czoła
pociąg ze szkła odjeżdża do Nieba

W powietrza ranę
dłoń wkładam i czuję
moje puste ciało
na czole popiół
we krwi martwe motyle
opadają

Stoję w Środku świata

wąwóz jak kolebka
kołysze się jeszcze
ramię semafora zaciśniętą pięścią
w Niebo mierzy
w białe prześcieradła spadają gwiazdy.

Dreszcz

Motyl na kamieniu milczy
sygnaturka tnie światło
nad polnym cmentarzem

Jestem marmurowym krzyżem
wyjętym
dłutem śmierci
z łona żywej skały
symetrią wątpliwości
między jest a
 będzie
śmierć mnie narodziła
by dowieść swej nieśmiertelności

W wiązaniu ramion gwiazda bólu rośnie
nie mogę unieść
krańców uciekających
w dwie przeciwne strony
Myślę o miejscu
gdzie słońce zabliznia
marmurowym popiołem
ślad narodzin
podobieństwo
pusty krzyż powietrza
Białe mrówki sekund toczą złotą kulę
między palcami Boga
Znowu ktoś urodził się w pobliżu
słyszę jak d r e s z c z
potrafił ślepa pajęczynę

Losu.

Kamienna rozkosz

Na krawędzi modlitwy
pod czaszką
kula nocy
pęcznieje
jak głód
Zimnym skrzydłem ociera się anioł
o prześcieradło
snu
Oczy płyną
po stalowej szynie
cicho
tną
miasto w bloki
Dziurawa gęstość
pętli
cisza
łaskocze
Sączę dno
butelki ruda krew zaciska
krtień
bieleje twarz od ukąszenia
serca
Uciekam w zimne oczodoły
miasta
i gaszę niedopałek
nocy
jest dwudziesta czwarta
zdejmuję buty
i wchodzę do piekła na palcach.

* * *

Stoję przed kamienną ścianą
jej wysokie czoło dotyka stóp Boga
Z tamtej strony noc słodka jak grzech
z mojej dzień jak piołun
Wspinam się po ścianie
pomarszczony chłód
sączy się pionowo

parzy mi palce
W mięśniach granatowe osy
ciemnieją
W źrenicy południa
ściana przezroczysta
widzę po tamtej stronie
jak mój sobowtór
usta nagie do ust jej tak blisko
jak ja do gorzkiej skały
palce okrwawione wbijam
Słyszę jak rozkosz rozcina ich ciała
do białego rdzenia
Mijam południe
wchodzę coraz wyżej
wyczerpany zasypiam u stóp
o północy
Nieomylny Bóg niechący strąca mnie
w jej ciało
Mój sobowtór budzi się przed kamienną ścianą.

Spisek manekina

Słyszę oddech śpiącego miasta
Gdy przez nocne okno świątyni grzechu
Kwadratowy anioł pamięci przechodzi
Między zmęczonymi palcami ulic się przelewa
I rozmawia z manekinem
Przez szybę wystawy IKARA
Układają chytry plan objęcia władzy w mieście
Bo to co człowieczego w ludziach pozostało
Teraz już ma tylko miarę manekinowych marzeń
I może by się dogadali kwadratowy anioł
Z gładkim manekinem ikarowych ofert
Choć szyba ich dzieliła z plexiglassu
Ale nocny stróż bezpieczeństwa
Nagle się zjawiał i nad uchem anioła wrzasnął
Rozejść się kwadratowy ośle
Nie słyszysz że dookoła śpią uczciwi wyrabiacze
Dziennych norm stali szkła i maszyn
I anioł już się rozchodził kwadratowym krokiem
Gdy nagle – stać dokumenty
Obcokrajowiec – paszport
Więc anioł wyciągnął kwadratową hostię pamięci
Gdzie zatrudniony
W szarych komórkach
A gdzie jest pieczęć
Na odwrocie marzeń w lewym górnym rogu

Możecie odejść i na przyszłość nie zakłócać snu
Anioł na te słowa skurczył się w sobie
Z kwadratowego zmienił się w prostokąt
Przeszedł jeszcze kilka kroków i cicho skamieniał
Rano przyklejono na nim afisz pierwszomajowy.

Najbliżej kaplic

Dzień
zapalił twarzę
to mi od oczu
odrywa smutek
i niesie go
najbliżej kaplic
serc najdalej
Mijasz się ze mną
we śnie
płacę za to głową
Później
już tylko niosę
martwe słowa
Jeszcze ziemia gorąca
stopami
śpiewa
a już cisza
popękana wierszem.

Miraż

Na nitce krwi
trzymam ogromny latawiec
Nieba
złote oko rysuje mi
cienie
spadające w marmury
modlitwy
wyspa bezludna i stroma
kamień
powietrza unosi pod sercem
Niebo wznosi się coraz głębiej w Niebo
nitka krwi rozciąga się do białości
trzymam mocno aż błękitniejszą mi koniuszki mózgu
tylko serce posłuszne
równy odcina

noce od dni
między skurczem niepewności
a rozkurczeni nadziei
Już trzydzieści trzy lata trzymam ten latawiec
między koniuszkiem serca a koniuszkiem mózgu
ludzie myślą że to Ziemia
obraca się wokół Słońca.

Głogi gęste jak lód

Głogi gęste jak lód
dojrzewają
czerwonym słońcem
w śniegu
Na białym obrusie
ryba
martwym okiem mierzy nieskończoność
Przez szczelinę w Niebie
sączy się cierpliwość umarłych
i krzyk nie urodzonych
Idę wolno trasą szybkiego ruchu
na serpentynie rzą
oktanowe płuca
aerodynamicznych koni
Usiłuję zabrać się
chcę zdążyć
przed pierwszą
transplantacją serca.

* * *

Przeciąłem pierś nieba chłodną
krew spadła
na tablice
oślepiiony czarnym powietrzem
ze świeżej rany
jak z otwartej książki
czytałem tajemnice
Ja syn wyrodny Ziemi
nie słyszający tablic kamiennych
rodziłem się w pękniętym niebie

Wszystko co skażone Ziemi posłuszeństwem
oderwie się kruchością
żeby spaść w jej ciało
Tobie ból co bólem już być
nie ma siły
i jest rozkoszą tylko
wniebowstępowania
da ci skrzydła anioła
i rozpacz Dedala.

* * *

Tylko w pustym pokoju
czuję się wszechmogący
Wypełniam go przedmiotami
jak czarodziej
Moje rzeczy jak moje ślady
wrastają w grząskie powietrze
Wypychają za okno
puste negatywy
Widzę jak krążą nad dachem
przezroczysty stół ława łóżko
fortepian i
kartki pełne
nie zapisanych wierszy
Nocą po przezroczystych włosach gwiazd
odpływają na drugą stronę
Z moich śladów zbudowana jest moja wieczność
Kiedy zapiszę wszystkie kartki
i przestrzeń pokoju wypełnię po wieko
stanę na parapecie okna
by wejść w noc.

* * *

Tak się we mnie pali
od kości do powiek
azbestowa dusza – wilczyca
przywarowała pod prześcieradłem ciała
Czeka cierpliwa
aż rozbiję twarz
o klepsydrę
Kawałek po kawałku rzucam jej

kości ojców chrzestnych
ale nie tknie
Wpatruje się zarliwie w moje oczy
od środka
a może nimi patrzy
nie wiem?
Więc ją otulam prześcieradłem szczelnie
i wypuszczam ciało na spotkanie ciała.

Za wysoką ścianą

Krwi słone ziarno
rzucone przez Boga
w przeźroczyستی cień
za wysoką ścianę Nieba
ma imię Ziemia
Zdziwiona Matka
Kaina i Abla
W czerwonych drutach bólu
rodziła
trzeciego syna
naga jak woda
czysta jak szelest krwi
Biały ptak miłości trzepotał
w czarnych korytarzach ciała
i krzyk
stał się ciałem
bez słowa
I wyrósł syn
Uczyła go wody
uczyła powietrza
i w nocy uczyła miłości
do świtu
I przeszedł cicho śmierci ścianę
Ziarna krwi od Hiroszimy białe
Czerwone ptaki miłości krzyczą gorzko
nad zbiorową mogiłą braci.

* * *

Z tej ziemi
z której macierzanki zapach
wsączył się w me włosy

jak różowy dym
Z tej ziemi
cała czułość świata
w wysmukłych trawach
w wierzbowych listkach drży

Z tej ziemi wyrosłem
karmiony pospołu
romantyczną gorączką
i piołunem Losu
w mojej krwi płyną gwiazdy
których światło boli
do serca przelewa się wolno
śpiewam
 lecz słowa kaleczę o usta
i z tego co było pieśnią
tylko szelest został

Nad doliną Wisły
dzwon kruszy szkło powietrza
i w tej właśnie chwili
myślę że jest takie miejsce
pod namiotem nieba
gdzie mi przez serce płynie wielka rzeka
światła
To gwiazdy we krwi rozmawiają
językiem ziemi
 uczają mnie źródła.

* * *

Pusta ulica
dreszcz płynie po szynach
w sierpniowym powietrzu
jak w lodowej bryle
biała mewa
U ramion dźwigów
 milczenie
jak ciężar
 rośnie
Za zamkniętą bramą
biało czerwona cisza
Czekają

Z mojego kraju

Z mojego kraju.
płynie pieśń od ziemi
kiedy pług ją przewraca
żeby oddychała
miłością do niej
Od tych p ó l jej imię

Z mojego kraju
tętent koni słyszę
Gdzieś od Raławic
przez listopad styczeń
dreszcz idzie w powietrzu
Szopen gra
Norwid wiersze pisze

I znów świt
i znów Wisła
we mgle Warszawa
a dalej Gdańsk
i trzy krzyże i kotwica

Z mojego kraju
nikt nie ucieka
śnieg pada biały
na czerwoną miłość.

Kropla

Na rogu ulicy
mała dziewczynka rośnie
zgodnie z małą wskazówką
ratuszowej wieży
jej koralowe serce czeka
na pierwsze uderzenie
Cień wspina się do stóp
biała kropla południa cicho
jak motyl spada prosto w zegar
Młoda dziewczyna rozpina bluzkę
jej koralowe serce toczy się po bruku
w sam środek
Noc całuje dziewczynę prosto w usta
biały wielbłąd miłości biegnie lekko
przez gorący piasek nocy

czerwony koralik tłucze się
o zimną szybę świtu
Młoda kobieta pierze zmęczoną koszulę męża
jej oczy są ogromne jak Niebo
i piękne jak narodziny Ziemi
młode ptaki odlatują w cztery strony
Stara kobieta przesuwa koraliki różańca
w stronę ciszy
ratuszowy zegar idzie wolno
do Nieba.

* * *

Zachód
czarna krew
 sączy się
w siatkówkę słońca
górski oset dzwoni po kamieniach
dziewięcioma siłami
zataczają się żółte piołuny
od wiatru
milczy ziemia
i milkną śpiewające cienie
Krople deszczu szeptem
opowiadają niebo
poparzonej trawie

Idę w nocną górę
garść słońca w sercu niosę
z równin gdzie głód się chwieje
w złotych łąkach żyta
i ludzie toczą czerwoną kulę gniewu

Pode mną nerwowe ogniki miast
drżą jak rosa
na nocnym liściu równiny
zasypiają
śni im się jutro
i plon
 który podziela
równno.

Umiera sierpień

Złote ekrany pól
ścięte
zemdląła trawa na miedzy
ból czerwienieje
w ziarnach
umiera sierpień.

Kosy już zawieszono
na krokwi
drżą
na ich ostrzach
wysmukłe dusze
pszenicy żyta owsa
w sierpniową noc
odlatują
do zbożowego nieba.

Głodna rozkosz

Rzeka omija koło młyńskie
niechęący:

Jest jak odcięta ręka,
krwawi cicho po kamieniach
i nigdy nie zamknie pięści.
Brzegom opowiada
niespełnioną namiętność

Czysta i chłodna usypia
w kołysce koryta śni
jej się
głodna rozkosz
mielonego ziarna
i śpiewające kamienne koło

Obłąkany bezsenny młynarz
zawraca ją kijem.

Matka kroi chleb

Milczy chleb na stole
jest pełen cieni
Rozmawiają w nim
dusze świętych zbóż.

Za oknem
białe dymy
trwonią tajemnicę plewy
Osty
suchą słodycz kołyszą
jak głód

Obnażona ziemia
pusta
pod dotknięciem pługa
odwraca się na grzbiet
naga
 oczekuje ziarna
śni białą suknię śniegu
Czarne ptaki wydziobują z niej
śmierć

Matka kroi chleb
przyciskając go do piersi
Otwiera tajemnicę
ziemi powietrza słońca i
czterech pór roku
znakiem krzyża.

A góra jest we mnie

Pod Bukową górą
matka woła
do domu
Jej głos wypełnia dolinę
jak woda kolebkę strumienia
i jest w nim słońce i niebo
i gałązka cienia niespokojna

A ja w kolcach
ostrężyn jałowca
wspinam się na górę
Poznaję opór miejsca urodzenia

Bukowa – unosi mnie
wiatr stromymi palcami
oplata me ciało
i napelnia je
ciałem wysokim

Dusza góry
zmęczeniem
przelewa się w mą duszę

Gdy stoję na szczycie
pod stopami ziemia
i we mgle kraj –
otwarty równinny – mój
a góra jest we mnie

Przeniosę ją
aż na tamtą stronę.

